ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnéj i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 20 marca 1909 r. № 12.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

2

Powieść historyczna.

Opędzał się tedy pan Błażej wcale tęgo natrętom, gdy w tem, około południa, na rzucone mu znów pytanie o stancyę, zachłysnął się, oczy rozwarł, osłupiał bez mała.

Tuż przed nim, o krok, połać granatu niebieszczyła się w słońcu, a grała mu karmazynowem brzeżeniem.

Pan Błażej otrząsnął się, oczy przetarł.

Granat żwawiej się zarysował, karmazyn linię kołnierzy odciął, dwie dziarskie twarze ukazał i znów dwoma lampasami na granatowych furażerkach się rozśmiał.

Pan Błażej aż stęknął ze wzruszenia i, nie bacząc na pytania, zadawane mu przez dwóch śmigłych oficerów, zakrzyknął.

— A toż panowie oficjerowie chyba z pod Augustowa!

— Z Warszawy, mój gospodarzu—odparł raźno starszy z oficerów w kapitańskich epoletach.—Bacz na świat drogi i schronienia nam nie odmawiaj.

— Od trzech dni ani ławy wolnej! — wtrącił się z boku jegomość z waszecia ubrany.—Ale, jeżeli panowie oficjerowie pozwolą, to akurat mój pociotek...

Imć Onoszko zacietrzewił się.

— A panu Półnosowi co do tego! Swego patrzeć! Macie go, pociotka sobie wyspekulował! Ani ławy! Pewnie, że, co lepsze, to zajęte, aleć kąt musi się znaleźć. A co na jutro, cały alkierz się wyklaruje!

— Bóg zapłać—nam wiele nie trzeba.

Pan Błażej oficerów do izby gościnnej zaprosił, ordynansom kazał tłumoczki znosić, a sam skoczył do kuchni, spędził dziewki i z niemi na poddasze do komórek pośpieszył i jął co tchu dla nowoprzybyłych mieszkanie gotować.

Pani Błażejowa, zajęta w izbie gościnnej, jeszcze zmiarkować nie zdołała, jacy to oficerowie rozsiedli się za stołem, pod oknem, gdy pan Błażej już zdołał komórki conajprzedniejszym dobytkiem przystroić, betami co najmiększemi zasłać a zgoła dostatnie pokoiki przygotować. Sprawność pana Błażeja potrafiła nawet i tego dokazać, że wszystkie gościnne izdebki musiały się złożyć na zaopatrzenie zaimprowizowanych pokoików. Jedna izdebka dała stół, druga stolik, trzecia kopersztych, czwarta poduszkę, piąta stołek. Tu i owdzie protestowano, tu i owdzie burzono się na zabieranie mu z pokoiku użytecznego przedmiotu, lecz imć Onoszko ani zważał. Wpadał, niby filistyn, porywał zdobycz, rzucał na odchodnem „zaraz odniosę!“—i zmykał na poddasze.

Pani Błażejowa, zwabiona czynionym przez męża hałasem, podreptała na górę do komórek i aż krzyknęła ze zdumienia.

— Błażeju! a ty komu taki pałac...

Imć Onoszko porwał babę w pół, zakręcił i wrzasnął jej do ucha.

— Dwóch prawdziwych „hułanów“ z Warszawy!

— Hułanów! Oszalałeś! A gdzież my, gdzież my się podziejemy!?

— My?—nic, kazałem już zamieść drewutnię.

Pani Błażejowa chciała się upierać, chciała wymawiać mężowi, że jej wyprawnych kobierczyków nie uszanował i komórki niemi zasłał, lecz ten ani zważał na połowicę. Do kuchni podążył i tu zabrał się sam do przysmaczania jajecznicy i gotowania zawiesistego posiłku dla „hułanów“.

Pani Błażejowa flegmatycznego była serca i nie skora do altercacyi — a przecież w godzinę po przybyciu nieszczęsnych „hułanów“, jęła wręcz pomawiać męża o rozumu zmieszanie. Toć raptem cały świat znikł mu z oczu. Nic go nie obchodziły nawoływania gości, nic

pogróżki, nic hałasy. Parobcy dowodzili za szynkwasem. Leli w szklanki, co chcieli i komu chcieli, bez porachunku. Forysie, popasem stojący na podwórzu, sami baraszkowali w obrokach, zaglądali już do piwniczek, a imć Onoszko jeno „hułanami" był zajęty, o nich tylko myślał, im służył, przy nich trwał.

Dwakroć pani Błażejowa usiłowała dobyć męża z tego hułańskiego opętania. Nawet na nią nie spojrzał, nawet nie usłyszał. Babę żałość ścisnęła. Za szynkwasem przysiadła, dzieciakowi nos wytarła i już chlipnąć miała, gdy nagle pan Błażej wsunął się za szynkwas i jął wazę opatrywać a butle przezierać. Panią Błażejową poderwało.

— Rany Boskie, patrzże, co się dzieje! Goście gwałtują, a ty ciągle z tymi... tymi...

Imć Onoszko cmoknął przeciągle.

— Uważasz, starszy — Krajewski, a młodszy Zabiełło! Pierwszy pułk księcia Oranii!..

— Człowieku, toć ten gruby szlachcic, co w dużym alkierzu stoi, od godziny od najgorszych klnie...

— Hm! Myślisz! Ale, nie pamiętasz, wszak ci u Łukaszów, w Ginteliszkach, była czwórka źrebiąt srokatych? Podaj mi arak! Co? Była!

— Zastanów się...

— Właśnie się zastanawiam, jeno nie jestem pewien, czy źrebięta były kasztanowato-srokate, czy gniado-srokate. A to ważne, bo konie trębackie w pierwszym pułku naszych hułanów muszą być gniado-srokate! Inaczej ani weź! Taki przepis.

Babę zatchnęło na ten oczywisty obłęd. Imć Onoszko zaś jeszcze bąknął coś o białych pęcinach, zaczem do kuchni z wazą zawrócił, tam ponczu nasmaczył i poniósł na poddasze.

Około południa uciszyło się nieco w gospodzie. Kto żyw z przejezdnych, na miasto wyległ. W izbie gościnnej dwóch łyków litkup zapijało, zresztą cisza.

Pan Błażej ukazał się za szynkwasem zafrasowany, skłopotany. Półkwaterkiem szurgnął, gorzałki łyknął, splunął i zaczął mierzyć wielkiemi krokami izbę.

Panią Błażejową pasya ogarnęła. Poprawiła fartucha i sypnęła przymówkami. Onoszko, za całą odpowiedź, machnął ręką i wyszedł z izby na ganek od podjazdu.

Ale i tu snać nie danem było panu Błażejowi spokoju zaznać, bo ledwie przysiadł na ławie, gdy z ciżby jarmarcznej, która kotłowała się tuż przed gospodą, wyrwała się czwórka siwków i zatoczyła z impetem pyłem okrytą nejtyczankę.

Z nejtyczanki wyskoczył żwawo dorodny młodzieniec, odrzucił lekki płaszcz z ramion i zawołał raźno ku Onoszce.

— Hej, tam—gdzie gospodarz? Wołać mi gospodarza!

Imć Onoszko ani drgnął. Młodzieniec ściągnął zlekka brwi, musnął ciemnego wąsika i zwrócił się do swego stangreta po litewsku.

— Stałgajtys! Nie ma co, musimy tu popasać i o drogę inną musimy się przepytać, bo, jak znów na trakt wpadniemy, to nam wozy jarmarczne i za tydzień nie dadzą do Landskorony dotrzeć!

— Zważam, miłościwy paniczu.

— A gdzie Kasakajtys, obejrzyj no się z kozła.

Stangret dźwignął się, ręką oczy od słońca przysłonił, a dostrzegłszy w dali, za sznurem straganów, brykę ładowną, odrzekł.

— Są, miłościwy paniczu! Ho-ho-tam! Już mnie widzą! Tylko strach—co luda!

— A widzisz, mówiłem, że lepiej było od Dowgieli na Brasław jechać! Licho nas na jarmark zapędziło!

Młodzieniec żachnął się, zerknął niechętnie ku stojącemu obojętnie imć Onoszce i dodał:

— A tu nawet ani się z kim dogadać!

W tejże chwili tuż przed młodzieńcem ukazał się opiekły jegomość z waszecia ubrany, o małych płowych oczkach i wielkim, czerwonym, guzowatym nosie. Młodzieniec skinął nań i zagadnął.

— Mój przyjacielu, gdzie tu gospodarza szukać!

Jegomość wydął bombiaste policzki.

— *Ne suprantu*, mój przyjacielu!

— Daruj acan, lecz supponowałem...

— Więc acan na drugi raz nie supponuj! I po ludzku się odzywaj!

Młodzieniec pokraśniał.

— Litewską mowę masz sobie za uchybienie!?

— Bom przyjacielstwa z acanem nie zapijał! Chcesz gospodarza, to się acan obróć! Sztuki dokażesz, jak się z nim lepiej dogadasz.

Młodzieniec mimowoli ku Onoszce znów się odwrócił, lecz ten równocześnie, jakby w ciżbie kogoś upragnionego dostrzegł, bo rzucił się na przełaj przez stragany i wozy.

Jegomość rozśmiał się jowialnie. Młodzieniec zaklął.

— A bodaj was z taką gospodą!

— Bodaj nie bodaj—potrzebujesz acan czego, tarabań się do gospody i hukaj, a może, coć trzeba, wyhukasz.

Jegomość z waszecia przy tych słowach ruszył obojętnie na ganek i znikł we drzwiach izby gościnnej.

Młodzieniec prychnął raz i drugi gniewnie aż, rad nie rad, podążył za jegomościem.

W izbie gościnnej młodzieniec próbował rozmówić się z panią Błażejową, lecz, gdy po raz szósty usłyszał „nie wiem, dobrodzieju", odwrócił się od szynkwasu i ze złością jął sadowić się za stołem, pod oknem, napędzając swego pachołka, który był z puzderkami nadszedł, aby się żwawiej uwijał.

Pachołek, ku nie małemu zgorszeniu pani Błażejowej, zaczął z puzderek dobywać naczynia, garnuszki, słoje, butelki, a bez mała całą ucztę zastawiać przed młodzieńcem.

Jegomość z waszecia, który był w pobliżu zabawiał się kubkiem, ozwał się jowialnie.

— Ba—ba! Żeby Onoszko miał co dnia takich trzech, to by bez butów chodził.

— I wart tego, kiedy tak gospody pilnuje. Toć niesłychany oby-

czaj! Psa kulawego przed podjazdem!

— Hm! Kto Morozdynia nienawykły, temu dziwno.

— Może waszeć się przysiądziesz do stołu?

— Najpierw muszę wiedzieć, do czyjego?

Młodzieniec pogładził wąsika.

— Jestem Grużewski!

— Z Kielm? Z rosieńskiego? Może, może syn imć pana Jakóba!?.

— Tak!

Jegomość wyciągnął ręce do Grużewskiego.

— Patrzcie, czyż bym się spodział! Półnos jestem, Półnos z telszewskiego z Pikieli, z tych nad Łuszą.

— Niechże pan siada, proszę! Więc znał pan mego ojca nieboszczyka?

— Nieboszczyka, mówisz dobrodziej! Hm! U Jędrzeja Soroki pod Oszmianą go widywałem! Pan Jakób! Pamiętam, pamiętam! Phy, a Kielmy! Fortuna magnacka. Jeden Podubiś z Gawżanami wart bogactwa. Dobrodziej sam dziedziczysz?

— Mam młodsze rodzeństwo.

— Starczy na dziesięcioro, byle trzymać, byle pilnować! Z ziemi, choć największej, łatwo, a do ziemi wrócić trudno, chyba po śmierci..

— Może półgęska?

— Aby oblizać, bom niegłodny. Uważ dobrodziej, z doświadczenia powiadam. Ojcowizna mi poszła na marne!

— Nie jadł, nie pił, a, co nie trza, prześlepił. Wysiudali, dobrodzieju. I cóż, Półnos jestem i bez ziemi jestem już dwadzieścia roków! Licho szlachcicowi bez ziemi.

— Niezawodnie! Kubeczek wina, francuzkie!

— Uu! Francuzów w dwunastym roku, to się napatrzyłem, ale co wina francuzkiego—nie piłem! Osobliwe! Tedy nad Łuszą siedzę teraz, posesyjkę trzymam i brzuch ściskam, bo na swoje chcę wrócić! I wrócę, dali-bóg, do ziemi!

Półnos kiwnął się w tem miejscu energicznie, wina pociągnął i, pochyliwszy się ku Grużewskiemu, dodał ciszej.

— Za rok będę na swojem! Tak! Ten jarmark ostatni widzi mnie samotrzeć na wózku. Za rok, ho-ho! Uważasz dobrodziej, trzysta rublów srebrnych uciułałem! Cheche! Klucza za trzysta rublów nie kupię, ale ziemi przedniej kawał będzie! Ba, lecz co dobrodziejowi powiadać o takich turbacyach. Wybacz, zwyczajnie, co serce uciska, to język miele! Syn pana Jakóba Grużewskiego. Dobrodziej pewno koników dobrać?

— Nie, właściwie przypadkiem.

DCN.

Władysław St. Reymont

MARZYCIEL.

12

— Bóg zapłać, wolałbym to w gotówce! Babsztyl sobie wyimaginował jakieś honory i Bóg wie jakie sławy, a czy ostatni z rodu ma całe buty, to się nie zatroszczyła. Łatwo dobrodziejować z cudzego! Honory mi nie zapłacą mieszkania, jak Pana Boga kocham, i nie dadzą papu! A czemuż to o takie honory nie zabiegają ci, którzy na to mają, naprzykład, nasi hrabiowie i książęta?

— Widzi pan, oni na innych polach służą krajowi, jak mogą, najlepiej! A cóżby się stało bez ich opieki z warszawskim baletem? W co by się obróciła hodowla koni wyścigowych? Któżby nas reprezentował po szerokim świecie? A to wszystko razem niemało kosztuje! Musi być podział pracy, trudno, ale analfabeci nie mogą się zajmować akademiami nauk, to zaledwie godne szlacheckiego gminu!

Na stacyę wleciał zadyszany, ośnieżony pociąg, w oknach ukazywały się przerażone twarze pasażerów, kilkanaście osób otoczyło zawiadowcę, rozpytując się trwożnie o bezpieczeństwo dalszej jazdy, a jakiś stary żyd z rozwianą brodą i chałatem, nie mogąc się do niego przecisnąć, latał dokoła i wrzeszczał, przekrzykując wichurę.

— Czy mamy się bać, panie naczelniku? Panie naczelniku, bo mnie się śpieszy!

Pociąg ruszył już z półgodzinnem opóźnieniem.

Józio, dosłuchawszy żalów Raciborskiego, pożyczył mu w końcu trzy ruble na apelacyę i pobiegł śpiesznie na obiad.

Naturalnie — że spotkał panią Zofię, czekała w uchylonych drzwiach mieszkania.

— Podobno pański przyjaciel nie wyjechał, może chory?—uśmiechnęła się jadowicie.

— Zdrowy, ale jeszcze u mnie posiedzi przez parę dni. Był już zły i krzyknął w stronę kuchni:— Magdzia, przynieś mi obiad na górę!

— Myślałam, że pan zje razem z nami! Jest i pan Gołębiowski.

— Bardzo żałuję, ale mi się spieszy.

— Do stęsknionego również przyjaciela...—wyrzekła z naciskiem.

— Przecież muszę się nim ucieszyć, taki rzadki gość...

— Od wczoraj i jeszcze się pan nie nacieszył dostatecznie?..

— Nie było czasu, musieliśmy przez całą noc podziwiać zabawę u państwa...

— Niegodziwy! Niedobry! — szepnęła z wyrzutem i uciekła.

Naraz cały dom zatrząsł się od wrzasków, rozległy się wściekłe ujadania psów, jakieś szalone gonitwy, odgłosy padających krzeseł i namiętne, szczujące okrzyki.

— Hołota! Muszę się wynieść z tych psich rajów!—mruknął, wchodząc do mieszkania. Frania z obwiązaną ręcznikiem głową, cała spowinięta w jakąś podartą firankę, zajęta była porządkowaniem tej rupieciarni.

— To jeszcze nic, początek zaledwie, ale na wieczór nie pozna pan swojego pokoju! Tu chyba nie zamiatano ze sto lat!—wołała, pokazując całe kupy śmieci.

— Tylko trzy, od czasu, jak tu mieszkam! Zamknij się, służąca idzie.

Magdzia wtoczyła się do pokoju z obiadem.

— Coż się tam u was dzieje? cały dom się trzęsie.

— A co, nową zabawę se umyślili: pan Gołębiowski z naszym panem poszczuli kota, kot się chroni, kaj ino może, pieski gonią za nim, pani je tłucze, czem popadnie, i drze się w niebogłosy, a panowie jaze się pokładają ze śmiechu!—rozpowiadała, latając oczami po pokoju, i naraz wykrzyknęła.

— Święci pańscy! Grzysi me zwodzą czy co? Wszyćko sprzątnięte do czysta.

— Bo kazał pan, a musiał sam!—bawił się jej zdumieniem.

— Zaś by ta pan wyszorował podłogę, a juści! ktosik drugi to sprawił...

— Moja Magdziu, miłuję cię bardziej, niźli kapustę z grochem, ale idź do dyabła!

— Dyć idę, idę! Jak to szczury bobrują po tamtych papierzyskach!—szepnęła z domyślnym uśmiechem, posłyszawszy zduszony kaszel Frani.—A może przynieść kota, co?

Ledwie się jej pozbył, zjadł obiad pospiesznie i zamieniwszy parę słów z Franią, poleciał do roboty, gdyż od południa pociągi szły już prawie jeden za drugim. Najpierw przewlókł się przez stacyę jakiś zwyczajny osobowy, podobny do żydowskiego omnibusu i tak samo brudny, odrapany, skrzypiący, chałatami zatłoczony i rozwrzeszczany.

Po nim przyleciał pośpieszny, niby koń wyścigowy, zgorączkowany i sprężony, i, jak koń, po krótkim postoju, spięty ostrogami, ruszył nagle z miejsca i przepadł w zamieci. A potem szły nieprzerwanie towarowe, cicho wypełzały ze śnieżycy i niby, obżarte liszki, ciężkie, długie i leniwe, przewlekały się przez stacyę i ginęły w rozszalałych tumanach.

Z przeszywającym świstem przelatywała niekiedy rezerwa, wlokąc za sobą ogon dymów.

Zawierucha wzmagała się nieustannie, pociągi szły z coraz większym opóźnieniem, już z trudem przekopując się przez zaspy, wicher wył, niby stada wilków, i łomotał o stacyę z taką wściekłością, że jęczały wszystkie szyby.

Wpadł Mikado, podobny do śnieżnego bałwana.

— Z nieba żeście spadli, czy co?—dziwił się Józio, podając mu rękę.

— Przyjechałem rezerwą! Ledwieśmy się przekopali, wiecie, że na dwa kroki nic nie widać! Psiakrew—z taką pogodą, przewiało mnie do kości.

— Bo wasz ibercjerek dobry, ale od kurzu!—zaśmiał się, dotykając jego kurtki, podszytej wiatrem.—Kożuch chowacie na upały?

DCN.

Abgar-Sołtan.

AUTOMOBIL.

Nowela.

— Popamięta mnie ona!

Szepnęła w najwyższej pasyi pani Ola, gryząc w ustach batystową chusteczkę i w ten sposób powstrzymując cisnące się do oczu łzy.

Nagle, zwracając się do swego towarzysza, siedzącego tuż obok w powozie, zapytała go nagle:

— Cóż z tem zrobisz?

— Popamięta on!..

Młoda kobieta rozśmiała się suchym ironicznym głosem, patrząc na mówiącego z niekłamanem lekceważeniem.

— Nie wielka sztuka—powtarzać moje słowa—dodała głosem, który, jak zgrzyt po szkle, przedarł się przez zaciśnięte zęby.

Nagle umilkła, zamyśliła się na chwilę, lecz wnet zawołała:

— Tu trzeba coś stanowczego zrobić! Tak żyć niepodobna!.. Albo... albo... wyniesiemy się stąd zupełnie.

Rozmawiali, jadąc przepysznym wiedeńskim powozem, zaprzężonym w parę świetnych kasztanowatych rosłych jukierów... Ten rodzaj koni, co to nie doszedł wzrostem i ciężarem Karosiera i nie zatracił wdzięku małego oryentalnego konika. Cały ekwipaż aż kapał luksem i komfortem. Sami państwo byli wystrojeni według ostatniej mody i znać było, że to lubili i na tem się znali. Dziwna para! Ona, pani Róża Pawłowska, z domu Rożniatyńska, z wielkiego domu pochodząca, żona Jana Pawłowskiego, który na zachcianki żony w ciągu lat sześciu stracił cały swój majątek i, rażony lekkim atakiem paraliżu, stracił przez pół przytomność i został umieszczony przez żonę w tanim domu zdrowia, a ona tymczasem zamieszkała „czasowo“ u bardzo „dalekiego“ kuzyna, pana Ufa Trzusłowskiego, swego długoletniego wielbiciela.

Pobyt ten trwał już cały rok. Ludzi to gniewać zaczynało. Matki dorosłych panien irytowały się, że pan Uf „zaprzątuje sobie głowę głupstwami“, a o małżeństwie na seryo ani myśli. Koledzy Ufa wściekali się, że tak kolosalnie bogaty koleżka zerwał zupełnie z towarzyszami i siedzi w domu „pod pantoflem cudzej żony“... Księża grzmieli na temat publicznego zgorszenia i jawnogrzesznictwa. ...Jawnogrzesznicy jednak siedzieli cicho, używali darów bożych w skrytości, tylko poczmistrzowa z sąsiedztwa opowiadała o różnych „spezach, delikatesach i smakołykach“, które pani Róża „wypisywała“ dla pana Ufa.... A nawet pomiędzy kucharzami po okolicy chodziło, że sama przypasuje czasem fartuch i idzie do kuchni smażyć „prawdziwego“ angielskiego beefstika dla pana Ufa.

Wreszcie ta idyla znudziła się im zupełnie—zapragnęli ludzkiego towarzystwa.

Postanowili puścić się razem z wizytami. Wybrano najpiękniejsze konie, sprowadzono nowiutki powóz i uprząż z Wiednia, dla służby obstalowano liberyę we Lwowie u pierwszorzędnego krawca, — ekwipaż był czarujący, pan Uf się nim rozkoszował, pani Róża nic mu zarzucić nie mogła. — Na pierwszy ogień miano puścić państwa Janów Horoszków. Młode małżeństwo, przed dwoma laty skojarzone. On ongiś golec pierwszej klasy, utrzymywany na poziomie warstwy obywatelskiej hojnością pana Ufa; ona, ogromnie bogata, ale „fabrykantka“, córka wzbogaconego kolosalnie przedsiębiorcy i fabrykanta smarów maszynowych i mydła, mieli stanowić bramę, przez którą nie zupełnie legalne stadło zamierzało znowu wkroczyć na arenę życia obywatelsko-towarzyskiego.

Wszystko było doskonale obmyślane—tymczasem zawiodło.

Fabrykantka stała w oknie, gdy nadjechał wspaniały zaprząg pana Ufa, i z najzimniejszą krwią zawołała lokaja i kazała powiedzieć „tym państwu“, że „państwa“ nie ma w domu...

Był to najmilszy może moment w życiu fabrykantki, mogła bezkarnie wyrządzić afront Rożniatyńskiej z domu... Tej Rożniatyńskiej, która już, jako tylko Pawłowska, tyle afrontu wyrządzała innym ludziom... W ten sposób zemściła się za tę perfumowaną chustkę, która nie odstępowała rzeźbionego noska pani Róży, gdy przed dwoma laty składała z mężem pierwszą wizytę u państwa Janostwa. Zapłaciła jej teraz z procentem za te minki i zapytania, „gdzie tu tak czuć naftą?".

Pan Uf, trzęsąc się z gniewu, kazał zawrócić z przed ganku państwa Horoszków, a pani Róża przez trzy kilometry powrotnej drogi nie mogła ust otworzyć.

Pani Róża, gdy już trochę przyszła do siebie, powtarzała z zajadłością:

— Albo będzie inaczej, albo musimy się ztąd wynieść!

A mówiąc to, rozporządzała już tak apodyktycznie losem pana Ufa, jakby on był jej własnością. I był nim, bo od tej chwili zaczął przemyślać, co ma uczynić, aby było inaczej; wynosić się bowiem z tej okolicy, którą lubił, nie chciał, a pozbyć się pani Róży z domu—nie miał siły.

***

W tych stronach miał swą rezydencyę młody książę Izio, dość rozrzutny młodzieniec, który czuł, że jeszcze ma czas bawić się, zanim przez spekulacye i bogaty ożenek ustali swą pozycyę i ureguluje swe majątkowe stosunki. Zamiłowania sportowe łączyły dość blisko pana Ufa z księciem, a kapitały i dochody pana Ufa nie raz były pomocne księciu do wydobycia się z trudnych położeń w życiu. Zresztą książę, obyty w świecie, stały gość Wiednia, Paryża i Riwiery, nie miał zupełnie przesądów co do „trochę nielegalnego pobytu" pani Róży w domu pana Ufa, i nawet to nielegalne stadło zaszczycał swemi książęcemi wizytami, bo sprowadzane przez panią Różę delikatesy i smażone przez nią angielskie beefstiki bardzo mu smakowały.

Z księciem więc naradzić się postanowił pan Uf, jak zwalczyć śmieszne przesądy parafialne...

Rozpoczęły się narady, trwały kilka dni, książę miał minę rozpromienioną, pan Uf, zaczerpnąwszy głęboko z kasy, wraz z panią Różą i księciem panem wyruszył niespodzianie do Wiednia. Siedzieli w Bristolu kilka dni. Pani Róża robiła sprawunki i obstalunki u modniarek i krawców, a panowie gdzieś znikali codziennie na kilka godzin i coś knuli w tajemnicy przed panią Różą.

Pewnego dnia przy śniadaniu, pan Uf zagadnął panią Różę:

— *Ma cousine!* Czy wiesz, że za czternaście dni imieniny ciotki prezesowej?

— Wiem, — odrzekła zagryzając wargi do krwi.

W rzeczy samej wiedziała, że ta stara milionerka, do której pokrewieństwa przyznawał się cały świat, wydawała w tym dniu wielki bal dla całej, najdalszej nawet okolicy, ale i to wiedziała, że na ten bal jej nie zaproszą. Pan Uf jednak, jakby nie wiedział tego, mówił dalej:

— Przy sposobności warto, aby kuzynka zaopatrzyła się w odpowiednią toaletę... Chciałbym, aby kuzynka rozerwała się trochę na tym balu.

Z oczu pięknej kobiety błysnęły i ciekawość, i coś pomieszanego, złożonego z gniewu i radości.

Ze względu na obecność księcia i pewnego znajomego oficera ułanów, którego tu pan Uf spotkał i na śniadanie zaprosił, nie mogła dokładnie pytać, rada jednak ze sposobności, zaraz po śniadaniu poszła do Jungmana i tam wybrała materyały na kilka wspaniałych toalet, które jej w parę dni wskazana w magazynie krawcowa w „cudowny" sposób wykończyła.

Na uparte pytania co do tego balu, pan Uf ani słowa nie chciał odpowiadać, a naciskany odrzekł wreszcie:

— To niespodzianka, nie pytaj mnie więcej... Na balu będziemy!

Nareszcie po tygodniowym pobycie w Wiedniu, zapłacił pan Uf sążnisty rachunek w Bristolu, i całe towarzystwo ruszyło z powrotem do kraju.

***

U pani prezesowej „stanowił się" tego roku olbrzymi bal... Wrześniowe słońce na świętą Amelię przygrzewało, jak na św. Annę, ciepło było, jak w lipcu... Osób bez liku... Wśród grup gości chodziła wieść, że książę odbierał z dworca dwa automobile, dwa wspaniałe samochody, które przyszły kilka dni temu z Wiednia. Opowiadano sobie, że jeden sprowadził dla siebie, drugi dla pana Ufa... Ciekawość była ogromna i każdy chciał jak najprędzej te wehikuły zobaczyć... Wieść ta doszła nawet do uszu samej solenizantki i ta wyraziła nadzieję, że może książę będzie łaskaw przyjechać dziś tu tym nowym automobilem.

Przy tej sposobności ogadano sobie sprawę pani Róży i pana Ufa, ich niefortunnej wizyty u państwa Horoszków, niesłychany „tupet" fabrykantki, która zdobyła się na energię odprawienia z przed ganku Rożniatyńskiej z domu... Pan Józef Wilkiewicz, zwany rewolucyonistą lub garibaldim, grzmiał, jak organ, na skandale w okolicy... Podawano wódkę i przekąski, nakrywano do obiadu... Gdy nagle rozszedł się głos:

— Jedzie! Jedzie!

— Kto? Co?

Zaszumiały liczne pytania.

— Książę!

Patrzcie tam, naprzeciwko—z góry do wsi, jedzie samochód! Taki wielki czerwony z białem.

Ktoś nagle krzyknął:

— Dwa samochody!

— Pewno jakiś zagraniczny pan bawi u niego, wziął go z sobą... Jaki książę uprzejmy, jaki grzeczny!

— Ależ oni wloką się! — wołał jakiś pesymista — ja swojemi jukierami pojadę dwa razy prędzej.

— Pewno z góry na dół, sprobuj po równemu.

Wszyscy gromadzili się na ganku oczekiwać przyjazdu księcia i jego dostojnych gości. Zaroiło się od czarnych fraków, białych gorsów i barwnych mundurów.

Odgłos tuby samochodowej rozlegał się coraz bliżej. We wsi kotłowało; szczekanie psów i pisk dzieci zlewały się w jakiś szum dziwny i oryginalny... Wreszcie cała kupa wyrostków miejskich, krzycząc przeraźliwie, wpadła przez bramę na dziedziniec, wraz z niemi cała gromada psów chłopskich, ogoniastych i kusych, ujadając przeraźliwie, a tuż za niemi wjechały dwa automobile i dopiero na ubitej drodze dziedzińca nabrały rozmachu i szybszem tempem podjechały pod ganek... Cała służba z otwartemi ustami stała milcząc i nie wiedząc, co ma czynić i jak witać tak niezwykłych gości.

Goście ze zdumieniem patrzyli. W pierwszym samochodzie siedział książę w towarzystwie pani Róży i pana Ufa, w drugim—panna służąca pani Róży i dwaj kamerdynerowie.

Książę podał rękę pani Róży, a ona, zrzuciwszy z siebie cudackie okrycie, okazała się piękna, świeża, w przecudną obiadową szatę odziana... Tak poszli wprost do pani prezesowej. Pan Uf szedł tuż za nimi.

Wszystko się rozstępowało i kłaniało... Pani prezesowa powstała ze swego fotelu i, składając macierzyński pocałunek na czole pani Róży, wyszeptała:

— Jak się masz, moja ty biedaczko, moja nieszczęśliwa męczennico!

— Męczennica! Męczennica!—rozlegało się po salonie.

Tymczasem w przedpokoju grzmiał głos pana Józefa Wilkiewicza, który z siłą strzału dwunastofuntowej armaty wołał:

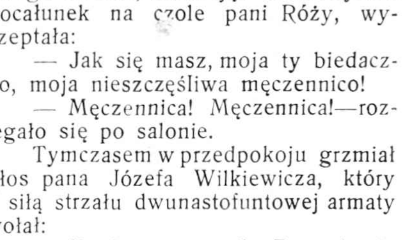
— Konie zaprzęgać! Zaraz konie zaprzęgać!... Damy pół światka do stołu, Wilkiewicz od stołu! Zaraz konie—psia ich mać z arystokracyą!... Książę gamratki zwozi.

Za pięć minut nie było już pana Józefa na balu.

Wyjechała jeszcze pewna pani z dwiema córkami, którym zęby nagle rozbolały — reszta została.

Męczennicę prowadził do stołu książę, a pani prezesowa prowadziła ją obok siebie, bo to przecież—Rożniatyńska z domu.

Co się nie udało powozem — uszło samochodem.



OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

Domini nie poszła tego ranka na wieżę hotelową. Na razie dostatecznie wzrok swój nasyciła i nie chciała mącić wrażeń nowemi nabytkami. Powróciła tedy wraz z Batuczem do Hotelu Pustyni.

Hrabia Anteoni pożegnał ją u wrót ogrodu i prosił, by przychodziła, ile razy zapragnie, i by spędzała tu tyle czasu, ile się jej żywnie podoba.

— Skorzystam z pańskiego zaproszenia,—rzekła otwarcie.—Czuję, że mogę.

Gdy podali sobie ręce, Domini dała mu swoję kartę. On też wyjął swoję.

— Co do tego dużego hotelu, koło którego pani tu przechodziła, jest on moją własnością. Pobudowałem go, by uprzedzić bardziej ohydny, który tu mógł był być zbudowany, i wynająłem go właścicielowi hotelu. Może pani zechce zwiedzić wieżę hotelową. Widok na obszar słoneczny ztamtąd jest nieporównany. Obecnie hotel jest zamknięty, lecz odźwierny pokaże pani wszystko, jeżeli pani przedstawi mu tę kartę.

Nakreślił parę słów po arabsku na karcie, od prawej strony ku lewej.

— Pan pisze również po arabsku? — rzekła Domini, obserwując z zaciekawieniem kształt pięknych zakrętasów.

— Tak jest. Jestem prawie w połowie afrykaninem, chociaż mój ojciec był sycylijczykiem, a matka Rzymianką.

Wręczył jej kartę, zdjął kapelusz i skłonił się. Gdy wielkie białe wrota zostały za nią zamknięte łagodnie przez Smaina, uczuła się, jak wtóra Ewa, z raju wypędzona, bez Adama—towarzysza wygnania.

— A co? Pięknie, proszę pani?—rzekł Batucz.—Czy nie mówiłem prawdy?

— Tak jest. Żaden ogród w Europie nie dorównywa temu w piękności. Teraz pójdę wprost do domu.

Uśmiechnęła się do siebie, mówiąc ostatnie słowa.

Przy hotelu zastali Hadiego, patrzącego z wściekłością. Zamienił parę słów z Batuczem, podkreślając je gwałtownemi ruchami. Gdy skończył, plunął ze złością na ziemię.

— O czem to mówiliście? — spytała Domini.

— Ten pan, który tu stanął w hotelu, nie chciał go dzisiaj wziąć ze sobą, lecz poszedł sam w pustynię. Hadi życzy mu, żeby go nomadzi zamordowali i żeby szakale pożarły jego ciało. Hadi jest przekonany, że to człowiek zły i że źle skończy napewno.

— Dlatego, że nie wziął go dzisiaj za przewodnika! Lecz i ja też nie będę ciebie brała.

— Pani jest całkiem co innego. Ja bym oddał życie za panią.

— Zanim to uczynisz, idź dzisiaj po południu i znajdź dla mnie konia. Nie chcę, by był spokojny, lecz by miał ogień, coś w tym rodzaju, jak konie, na których jeżdżą spahowie.

Duchy pustyni przemówiły do jej ciała zarówno, jak do duszy. Powstała w niej odwaga cielesna, rwała się, by dać jej folgę.

— Pani jest — jak lew. Pani się niczego nie boi!

— Mówisz, nie wiedząc, Batucz. Nie przychodź tedy dziś po południu, lecz przyprowadź mi razem konia, jeżeli go znajdziesz, jutro zrana.

— Dziś wieczorem będę.

— Nie, Batucz. Rzekłam: jutro zrana.

Mówiła spokojnie, lecz z postanowieniem niezłomnem, które mu kazało zamilknąć. Dała mu tedy dziesięć franków i weszła do ciemnego budynku, z którego palące południe było wyłączone. Postanowiła pozostać tu po śniadaniu, a pod zachód dopiero pójść do dużego hotelu i wejść bez towarzysza na wierzchołek wieży.

Było pół do pierwszej i nikły brzęk noży i widelców z sali jadalnej powiadamiał ją, że śniadanie gotowe. Poszła na górę, umyła twarz i ręce w zimnej wodzie, stała, gdy Zuzanna otrząsała kurz z jej sukni, i potem zeszła do sali ogólnej. Świeże powietrze wzbudziło w niej apetyt.

Sala jadalna była duża i cienista, zastawiona małemi stolikami; tylko przy trzech stolikach siedzieli spożywający. Czterech oficerów francuskich siedziało razem przy jednym. Przy drugim siedział mały, tłusty, pocący się jegomość średnich lat, prawdopodobnie kupiec podróżujący, który miał oczy melancholijne, podobne do oczu ropuchy. Jadł on oliwki z trwożną gwałtownością, ocierając wciąż czoło brudną białą chusteczką. Przy trzecim stole siedział ksiądz, z którym Domini rozmawiała w kościele. Miał serwetę rozpostartą pod brodą i jadł zupę, pochylając się głęboko nad talerzem.

Młody arab-kelner, z twarzą szczupłą i roztargnioną, stał w pobliżu drzwi w jasno-żołtych pantoflach. Gdy Domini weszła, pośpieszył sprawnie miękkim, posuwistym krokiem po wypolerowanej posadzce i wskazał jej stół. Ksiądz rzucił na nią okiem z ponad serwety, powstał i skłonił się. Oficerowie francuscy patrzyli na nią z zaciekawieniem: byli nadto rycerscy, by starali się to ukryć. Jedynie mały tłuścioch pozostał całkowicie obojętny. Otarł czoło, wbił zręcznie widelec w oliwkę i w dalszym ciągu patrzał, jak melancholijna ropucha, wpędzona przez losy do komercyjnych zabiegów.

Stolik Domini był przy oknie, które całe było zaciągnięte zieloną wenecką okienicą. Stał on w znacznej odległości od innych gości, którzy nie mieszkali tu w hotelu, lecz przychodzili jedynie codziennie na jedzenie. W pobliżu swego stolika spostrzegła stolik, nakryty na jednę osobę i tak zarządzony, że jeżeli by ktoś przyszedł na śniadanie, to siedział by właśnie twarzą do niej. Była ciekawa, czy to jest nakrycie dla tego jegomości, który uciekł od modlitwy w „Ogrodzie Allaha". Gdy tak patrzała na puste krzesło, stojące wobec noży i widelców i białego obrusa, nie wiedziała dobrze, czy chciałaby, żeby było zajęte przez jej towarzysza podróży, czy nie. Czuła obecność jego w Beni-Mora, jak coś wojowniczego. To wiedziała. Wiedziała również, że przybyła tu, by posiąść spokój, ciszę wielką i odosobnienie, w którem by mogła dźwignąć się nareszcie, rozwinąć, wyzwolić swoje *ja* prawdziwe z więzów krępujących, dojść do zrozumienia siebie, w lico z sercem i z duszą, i—jak bądź by tam było—spojrzeć im w oczy i dowiedzieć się, po co one były, czy złe, czy dobre. W obecności całego tego nieznajomego było coś nieprzyjemnie mącącego, czego nie wiedziała i wiedzieć nie mogła, coś, co wzbudzało w niej wrogość i razem sprowadzało jej uwagę. Była tego świadomą w pociągu, świadomą w tunelu o zmroku, w nocy w hotelu, i znowu tam — w ogrodzie Anteoni'ego. Człowiek ten wkradał się — bez wątpienia, bez-

wiednie, lub nawet przeciw jej woli—do jej wzroku, do jej myśli, za każdym razem, kiedy już miała oddać się temu, co hrabia Anteoni nazywał „duchami pustyni“. Tak było, kiedy pociąg wytoczył się z tunelu na krainę błękitną. Tak było znowu, gdy skłoniła się na białym murze i patrzała z góry na lśniące rozłogi słoneczne. Był on tam, jak wróg, jak coś postanowionego, samolubnego, co mówiło jej: „Chcesz patrzeć na ogromy pustyni, na niezmierzoności, nieskończoność i Boga!—Patrz na mnie“. I nie mogła odwrócić oczu od niego. Każdej chwili, jakby bez wysiłku, zdobywał wielką władzę z zapasów nad nią, utwierdzał siebie w jej myślach, zmuszał jej wyobraźnię do pracy nad jego życiem, powodował silniejsze bicie serca na ton — czego? Było-ż to współczucie? Czy—groza? Wiedziała, że nazywanie tego uczucia jedynie odrazą nie byłoby słusznem. Natężenie i żywotność siły, zawartej w ludzkiej istocie, gniewały ją prawie w tej chwili, gdy patrzała na puste krzesło i ujawniła sobie to, co raptownie spowodowało tę pracę jej ducha.

Domini poczęła czuć gniew. Lecz że była zdolną do wysiłku, zarówno w kierunku cielesnym, jak i duchowym, rezolutnie otrząsnęła ze swej duszy obcego przeciwnika i myśli swe ofiarowała księdzu, którego wązkie plecy widziała w odległości pokoju. Jedząc rybę, myślała o jego spokojnem życiu w tej oddalonej miejscowości, o dniach słonecznych, następujących po sobie i tak podobnych do siebie, iż zdały się być braćmi, a życie—rodzajem snu, skroś który dźwięczał melodyjnie głos dzwonka kościelnego i kadzidło, wznoszące się przed ołtarzem, snuło zapachy nasenne. Jak dziwnym w istocie musi być żywot w Beni-Mora,—mieć tu swój dom, swych przyjaciół, pracę, obowiązki i ten drobny dział ziemi, gdzie spocznie wreszcie ciało utrudzone. Musi to być jednostajnem i dziwnem, lecz razem niechybnie tak słodkiem, tak pewnem.

Oficerowie podnieśli głowy znad talerzy, tłusty jegomość łysnął wzrokiem, ksiądz spojrzał spokojnie z nad swej serwety, a kelner arab posunął się naprzód z bacznym pośpiechem. Bowiem drzwi jadalni, w tej chwili pchnięte, otworzyły się, i podróżny—tak go Domini mianowała w swych myślach — wszedł i stanął, patrząc z wahaniem od stołu do stołu.

Domini nie spojrzała. Wiedziała, kto to był, i trzymała oczy utkwione w talerz. Słyszała głos araba, głośne stąpanie ciężkich butów po drewnianej posadzce i skrzypnięcie krzesła, przyjmującego rzetelnie zmęczone ciało. Podróżny siadł ciężko. Domini jadła wolno rybę. Gdy ją ukończyła, spojrzała wprost przed siebie na obrus i chciała ułożyć w szyk myśli z życia księżowskiego w Beni-Mora. Lecz nie mogła tego dokonać. Otrzymała wrażenie, jak gdyby znów była w ogrodzie hrabiego Anteonie'go. Patrzała znowu przez szkła i słyszała czterokrotny krzyk mueddina, obaczyła postaci, kroczące w słońcu palącem, araba, chylącego się ku modlitwie, i tego, który patrzał na niego, i zbiegł. I była zła na siebie za tę dziwną niemożność panowania nad swemi myślami. Zdało się jej to rzeczą upokarzającą, której powinna się była wstydzić.

Słyszała, jak kelner postawił półmisek na stole podróżnego, potem — szmer wody, nalewanej do szklanki. Nie mogła już dłużej utrzymać swych oczu spuszczonych. Zresztą, po cóż by? Beni-Mora wyrościło w niej samopoczucie, czy poczucie nazbyt zaostrzone innych—które było w niej nienaturalnem. Nigdy w swem przeszłem życiu nie była tak wrażliwą, jak dziś: dzikie słońce afrykańskie — zdało się, że stopiło w niej wszystką obojętność. Czuła teraz wszystko władzami zaostrzonemi — aż prawie nieprzyjemnie. Wszystkie zmysły były, jak na straży. Widziała, słyszała teraz, jak nigdy przedtem nie widziała i nie słyszała. Przypomniała sobie naraz swoję prawie gwałtowną modlitwę: „O, daj mi wskrzesnąć! o, daj mi czuć!“—i zrozumiała teraz, że modlitwa taka może mieć odpowiedź, która może być straszną.

Spojrzawszy tedy z rodzajem surowego zarządzenia, ujrzała swego towarzysza podróży. Jadł i nie patrzał ku niej; wyobraziła sobie, iż oczy jego były utkwione w dół z takiem samem świadomem postanowieniem, jak jej oczy były przed chwilą. Miał na sobie to samo ubranie, które miał w wagonie, lecz teraz było ono zapylone kurzem pustyni. Nie mogła znaleść dla niego „stanowiska“. Nie był on ze świata małego, tłustego jegomości. Nie mógł mieć nic z nim wspólnego. Z oficerami francuskiemi? Nie mogła sobie wyobrazić, jak mógł by do nich pasować. Jeden jeszcze człek w sali — służący wyszedł na chwilę—to był ksiądz. On i ksiądz byli napewno przeciwnikami. Czyż nie odwrócił się w tunelu, by go uniknąć? Był on prawdopodobnie jednym z tych, którzy nienawidzą stanu kapłańskiego, dla których wyklęciem jest sutanna. Czy znalazł by miłe towarzystwo w osobie takiego człowieka, jakim był hrabia Anteoni, człek oryginalny, bez wątpienia, lecz razem kulturalny i łatwy człek światowy? Uśmiechnęła się wewnętrznie na samą tę myśl. Kimkolwiek miał być ów cudzoziemiec, czuła, iż był tak dalekim od człowieka światowego, jak ona od szwaczki londyńskiej lub od osłoniętej faworyty z haremu. Nie mogła, choć pragnęła, wyobrazić go sobie w gronie z żadnym rodzajem istot, do których była przywykła. Chociaż — nie ma wątpliwości—jako człowiek, musiał on mieć gdzieś przyjaciół, stosunki, może nawet żonę i dzieci.

Podróżny skończył rybę. Złożył swe duże opalone dłonie na stole z dwu stron talerza i patrzał na nie poważnie. Naraz zwrócił głowę i spojrzał z ubocza na księdza, który był poza nim z prawej. Potem znów patrzał na swe ręce. Domini zaś wiedziała, że przez cały ten czas myślał o niej, tak jak ona myślała o nim. Czuła gwałtowność jego myśli, jak gwałtowność ręki uderzającej.

Kelner-arab przyniósł pieczeń baranią z groszkiem—i Domini jedząc znów patrzała w swój talerz.

Gdy wychodziła po śniadaniu z jadalni, ksiądz znowu powstał i skłonił się. Zatrzymała się na chwilę, żeby z nim pomówić. Wszyscy oficerowie francuscy obserwowali jej figurę, równą i wielką, jej ramiona atletyczne, — z zachwytem natężonym. Domini wiedziała o tem i była na to całkiem obojętna. Gdyby nawet setnia żołnierzy francuskich patrzała na nią badawczo, nie troszczyła by się o to zgoła. Nie była kobietą lękliwą i wcale się nie tropiła, gdy czyje oczy spoczęły na niej. Stała tedy i rozmawiała przez chwilę z księdzem o hrabim Anteonim i o urokach jego ogrodu. I gdy to czyniła, czując całą swą spokojną władzę nad sobą, dziwiła się jednocześnie w głębi całkiem nienaturalnemu wzruszeniu—nazywała to tak, przesadzając swe uczucie, było ono bowiem niezwyczajnem — w którem pozostawała przez kilka minut, zanim siadła do stołu.

Ksiądz mówił dobrze o hrabim Anteonim.

— To człowiek szlachetny, — rzekł.

Lecz zaraz się zatrzymał, zwijając serwetę, i dodał:

— Nigdy zresztą nie miałem z nim rzeczywistej rozmowy, proszę pani. Przypuszczam, że przyjeżdża tu, poszukując samotności. Spędza dnie, a nawet tygodnie sam jeden, zamknięty w swym ogrodzie.

— Na rozmyślaniach, — rzekła Domini.

Ksiądz spojrzał lekko zdziwiony.

— Było by trudno nie myśleć, proszę pani, wszak prawda?

— Naturalnie. Lecz hrabia Anteoni, wyobrażam sobie, myśli raczej tak, jak Baszybuzuk się bije.

Usłyszała skrzypnięcie krzesła woddali i spojrzała przez ramię. To podróżny poruszył się na krześle. Pożegnała naraz księdza i wyszła z jadalni.

Przez całe popołudnie nie wychodziła z domu. Cisza była głęboka. Beni-Mora napawało się siestą w gorącu. Domini rozmyślała śród ciszy. Zmęczenie po podróży całkiem już ją opuściło i poczęła się dziwnie czuć już, jak u siebie w domu. Zuzanna poustawiała fotografie, kwiaty w saloniku, porozkładała książki, poduszki tu i owdzie, rzuciła piękne okrycia na sofę i na dwa nizkie krzesełka. Pokój przybrał odrazu wygląd utulności, żywej wymiany. Był to pokój, w którym można było przebywać bez niepokoju, i Domini podobała się jego prostota, jego naga posadzka drewniana i białe ściany. Słońce wyświetlało i czyniło tu dobrem wszystko. Bez słońca — ale czy mogła w Beni-Mora myśleć o czem bez słońca?

Czytała na werendzie i sennie myślała, podczas gdy godziny staczały się szybko. Nikt nie przychodził, żeby ją niepokoić. Nie słychać było kroków stóp, ani poruszeń żywej duszy w całym domu. Tylko z ogrodu od czasu do czasu dolatywały do niej dźwięki, zmieszane ze szczególnie suchym szumem liści palmowych, które wietrzyk poruszał, lub tętent galopującego konia dobiegał do jej uszu. Zegar kościelny wydzwaniał godziny i obudził w jej pamięci wieczór uprzedni. Zdał się on już tak daleko w przeszłości. Zaledwie mogła wierzyć, że nie dłużej nad dwadzieścia cztery godziny jest dopiero w Beni-Mora. Miała to przeświadczenie, że już bawi tu bardzo dawno, że już z tem słonecznem miejscem pokoju zrosła się głęboko istotą. Zadźwięczał dzwonek kościelny i znowu pomyślała o wnętrzu kościołka i o jego księdzu z jakąś dziwnie swojską przyjemnością, z jaką lud w Anglii myśli często o wiejskim kościele, w którym przywykł się modlić, o swym proboszczu, który w nim celebruje każdą niedzielę. Chwilami także przypominała sobie wołanie wewnętrzne w ogrodzie Antoni'ego: — „O, jaki los mnie tu spotka?“ I wtedy miała mglistą świadomość, że Beni-Mora było miejscem wielu rzeczy poza pokojem. Były w niem wpływy wrogie, wojujące. To raz kołysało ją,— że była, jak dziecię, usypiane w kołysce, to znów wstrząsało nią,— że była kobietą na skraju tajemnych możebności. Musiało być tu wiele odmian zpośród duchów pustyni, o których mówił jej hrabia Anteoni. To jeden był przy niej i szeptał jej do ucha, to znowu inny. Zdało się, że światło dłońmi swemi dotknęło jej dłoni, ciągnąc ją wdzięcznie ze sobą, jak dziecię ciągnie kogoś, by zaprowadzić go do skarbu. A skarb ten był oczywiście bardzo daleko, ukryty w rozłogach piasków pustyni.

Jak tylko słońce poczęło się chylić ku zachodowi, wzięła kapelusz, włożyła kartę, którą jej dał hrabia Anteoni, za rękawiczkę i udała się w kierunku wielkiego hotelu — sama. Spotkała Hadiego, jak się przechadzał pod arkadą. Chciał jej towarzyszyć i był widocznie przepełniony zdradzieckiemi myślami wysadzenia swego przyjaciela Batucza, lecz dała mu franka i odprawiła go. Frank uspokoił go nieco, mimo to mogła była dostrzedz, że jego próżność dziecięca była zadraśnięta. W długich i wązkich oczach jego, gdy patrzał na nią, były błyski złośliwe. Lecz było zarazem i uwielbienie naiwne. Arabowie chylą się instynktownie przed każdym duchem władczym, a duch taki w kobiecie cudzoziemskiej obudza błyski w ich oczach, jak płomię jasne. Siła fizyczna takoż przemawia do nich ze szczególną mocą. Hadi odwrócił naprzód głowę, wsunął swą brodę i zamamrotał coś, patrząc na gibką postać sprężystą, którą odchodząca cudzoziemka wprawiała w ruch, aż póki nie zniknęła mu z oczu. I ani razu nie obejrzała się na niego. To była strzała zabójcza z jej kołczanu. Zapadł w głębokie marzenie pod arkadą, i lico jego stało się naraz tajemniczem, jak lico sfinksa.

Tymczasem Domini zapomniała już o nim zupełnie. Skręciła na lewo wgłąb małej uliczki, na której kilku Indyan i zamożniejszych arabów miało swoje bazary. Jeden z ostatnich podszedł do niej, gdy przechodziła, z cienia swych wiszących dywanów i haftów i, zwracając się w dziwnej mieszaninie pokaleczonej francuszczyzny i angielszczyzny, prosił ją, żeby wstąpiła do jego sklepu obejrzeć towary.

Odmówiła ruchem głowy, nie mogła jednak nie spojrzeć na niego z zaciekawieniem.

Był to najcieńszy człowiek, jakiego kiedykolwiek widziała. Stał i poruszał się, jakgdyby był bez kości. Wyraz jego delikatnych i razem despotycznych rysów był okrutny. Twarz jego była podziurawiona przez ospę i naznaczona starą blizną od rany, zadanej prawdopodobnie nożem, która ciągnęła się od lewego policzka do czoła, kończąc się nad samą lewą brwią. Wyraz jego oczu był prawie niesmacznie inteligentny. Gdy utkwił je na Domini, czuła, jakgdyby ciało jej było szklannem pudełkiem, w którem wszystkie jej myśli, czucia i pragnienia stały rzędami dla jego rozpatrywania. W zachowaniu jego było wiele z tego, co błagało, lecz także coś z tego, co nakazywało. Palce jego były nienaturalnie długie; miał w ręku mały worek i z nim zagrodził jej drogę.

— *Madame*, proszę, *venez avec moi. Venez—venez!* Ja mam wiele, ja będę pokazać—*j'ai des choses extraordinaires! Tenez.* Proszę patrzeć!

Rozwiązał gardziel worka. Domini zajrzała w niego, spodziewając się zobaczyć coś cennego—naprzykład klejnoty. Zobaczyła jedynie pewną ilość piasku, roześmiała się i ruszyła dalej. Mniemała, że arab był bezczelnym łobuzem, który stroi sobie z niej żarty.

— Nie, nie, pani! Nie śmiać się! *Ce sable est du désert. Il y a des histoires là dedans. Il y a l'histoire de madame.* Proszę do sklepu! Ja będę pani powiedział, ja wszystko jej odczyta. *Tenez!*

Zajrzał do worka i twarz jego stała się naraz surowa i ściągnięta.— *Déjà je vois des choses dans la vie de madame. Ah, mon Dieu! Ah, mon Dieu!*

— Nie chcę, nie chcę!—broniła się Domini.

DCN.

TREŚĆ NUMERU 12-go.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie